

BRAT

Przez całe życie w mojej świadomości istniał, aże również nie było go. Żyliśmy zawsze całkowicie oddzielnym życiem, a jednocześnie tak mocno związani, że gdyby go zabrakło, życie moje stałoby się uboższe i byłby to znak, że zbliżam się ku końcowi.

Zycie mojego brata było gwarancją mojego życia. Z nim, obok niego, przy nim płynęło moje dzieciństwo. W gruncie rzeczy niewiele rozmawialiśmy ze sobą, nigdy sobie nie zwierzałyśmy się, nigdy nie mieliśmy wspólnych kolegów ani spraw.

Ale był. Zawsze był. W każdy dzień, w każdą noc, na sąsiednim łóżku we wspólnym pokoju. Śniadanie, obiad, kolacja, wspólna modlitwa, pod okiem Matki lub Babki.

Był. Zawsze. Obecny w moim życiu od świtu do następnego świtu. Wiosna, lato, jesień, zima. Był tak bardzo obecny, że aż niezauważalny. Był Kimś i Nikim.

Nigdy nie obchodziły mnie jego zabawy, ołowiani żołnierze, armatki, amunicja z papierowych kulek, nigdy nie obchodziło mnie jak się uczy, i czy w ogóle się uczy, że jeździ na łyżwach, że wybija okna w piwnicach naszych sąsiadów, że dostaje lanie od Ojca za upór, niesubordynację i lenistwo. Nawet wtedy, kiedy na podwórku z dziećmi folksdojców klócił się i udawał im, że:

— Hitler wygra wojnę, ale na fujarce!

Nie dzieliłam z moimi Rodzicami uczuć ani dumy, ani strachu o niego.

Ani wówczas kiedy wysoki, piękny, szczupły, opalony, jasnowłosy, z białymi jak śnieg zębami w szerokim uśmiechu, podbijał serca moich koleżanek. Na mnie nie robił żadnego wrażenia. Kiedy prosiły mnie:

— Poznaj mnie z bratem! — byłam raczej zdziwiona niż pochlebiona.

A gdy po maturze wracał późnymi nocami z chłopczyńskich balang, latałam mu tylko cierpliwie wiecznie podarte nogawki spodni.

— Zostu, zrób to tak, żeby Mama nie zauważyła. Rozdarłem w nocy na drucie kolczastym.

Zeszywałam i ani dbałam o jego pochwałę. Nie interesowało mnie, czy rzekł zdarzyła się na drucie kolczastym, czy w innych okolicznościach.

Myśmy się z sobą nawet nie klóćcili! Parafrazując Czechowa, mogłam powiedzieć:

— Brat, to brat.

Maturę zdawaliśmy w jednym roku. Równocześnie składaliśmy papiery na wyższe uczelnie. Ja zostałam dopuszczona do egzaminu, on nie. Począz nadeszło zawiadomienie na wąskim, długim, cienkim jak bibułka blankiecie, że podanie zostało odrzucone, co odbiera mu prawo do złożenia egzaminu. Powód mógł być tylko jeden: nasz Ojciec bardzo aktywnie pracował w AK, przed wojną był zawodowym wojskowym w stopniu podoficerskim. Był rok 1951. Okres szczególnie „taskawy” dla „zapłutych karłów reakcji” i ich dzieci.

Minęły wakacje. Ja byłam na koloniach letnich w Piwnicznej, gdzie czas mi płynął różowo na pławieniu się w Popradzie, zdobywaniu punktów dla mojej drużyny w grze w siatkówkę i wieczornych tańcach z harcerzami z pobliskiego obozowiska. Gdzie podziwiał się mój brat, nie wiedziałam, prawdę mówiąc, byłam tak zajęta swoimi sprawami, randkami, dopiero co zdobytą dojrzałością, że problem przyszłości mojego brata niewiele mnie absorbował. Wystarczyło, że martwili się Rodzice. Sądzę, że sam delikwent, który raczej był młodzieńcem lekkomyślnym, nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji.

Przyszła jesień. Zaczęłam studia. Codziennie rano wychodziłam na uczelnię. Mój brat żegnał mnie za spąpanym ruchem dłoni, zagrzebany w ciepłą pościel. — Cześć studentko! — przewracał się na drugi bok i zasypiał.

Któregoś dnia Matka ze skrzynki pocztowej wyjęła kopertę z pieczęcią przedstawiającą orła. Powołanie do wojska.

Jego wyjazdu z domu nie pamiętam. Byłam zbyt zajęta swoim nowym życiem. Wyjazdu moich Rodziców na przysięgę też nie pamiętam. Ja nie mogłam lub nie chciałam jechać.

Kiedy poinformowano mnie w domu, że Brat mój już nie przebywa w jednostce wojskowej, lecz że został skierowany do Batalionów Pracy i zwieziony do kopalni, pomyślałam:

— No cóż, ojciec pochodzi z górniczej rodziny, bracieczek chciał zdawać na Akademii Górniczo-Hutniczej, swój poszedł do swego.

Pojęcie Batalionów Pracy nie było mi znane. ZMP milczał, rodzice także. Listów nie było — zdaje mi się. A i sama zaczęłam mieć poważne kłopoty na uczelni. Nie, nie z nauką. Ze sprawami, które były mi obce i budziły odruch sprzeciwu i buntu. Jeden strychulec, pod który koledzy z ZMP chcieli nas wszystkich podciągnąć, był mi tak wstrętny i obmierzły, że co i rusz moje nazwisko figurowało na związkowej ściennej gazecie, chłaskającej niemilosierdnie elementy reakcyjne i imperialistyczne. Gazetka nazywała się „Błyskawica”, litery były namalowane czerwoną farbą i dwa pioruny zeusowe też były czerwone, a chlastało się za tańczenie samby na wieczornicy lub brak czerwonego krawata, lub zbyt poufały sposób bycia z płcią odmienną. Miałam też poważniejsze problemy, które zakończyły się procesem rozdmuchanym na całą uczelnię o sabotaż i przynależność do frakcji politycznej pod kryptonimem „Psy”.

Na pierwszym roku studiów zaprzyjaźniłam się z Andrzejem Gazdeczką i Teresą Bielińską. Turka, jak ją nazywaliśmy wszyscy, była starsza ode mnie i Andrzeja. Uczyliśmy się razem, razem chodziliśmy do kina, razem siedzieliśmy na wykładach, razem włóczyliśmy się po krakowskich ulicach. Turka była naszym wodzem, przewodnikiem, autorytetem. Ciągłe byliśmy razem. Wszędzie. Ale każde z nas miało swój własny świat, którego nie odkrywaliśmy przed sobą. Flirty, miłość, randki — o tym się w ogóle nie mówiło i nie opowiadało. Byliśmy kumplami na dobre i złe życie studenckie, ale sfera osobistych spraw była sferą wyłącznie własną.

Turka pierwsza spostrzegła, że jesteśmy podobni do psów. Andrzej do wyzła, ja do pekińczyka, ona do charta. I zaczęliśmy nazywać siebie „psy”. I koledzy zaczęli traktować nas jako klan. Klan psów. Byliśmy osobni, zamknięci we własnym świecie, zajęci wyłącznie sobą i dla siebie żyjący. I całkowicie apolityczni. I tak trwało długo. Aż na drugim roku podpadliśmy. Nasza osobność zaczęła irytować przewodniczącego ZMP, który uważał, że wylamujemy się z obowiązującego kanonu życia kolektywnego, opartego na wzorze Makarenskowskiego „Poematu Pedagogicznego”. A to zrobiliśmy nie tak, a to zachowaliśmy się nie tak, a to rozbiliśmy wspólność, a to... — już nie pamiętam tych bzdur, które nam zarzucano. Zrobiono z nas frakcję sabotażową, rozbijającą jedność roku. Posypały się zarzuty natury politycznej. Andrzej wściekle odgryzał się rzeczywistością jak ples, my początkowo milczaliśmy, ale w końcu, rozeźlone, zaczęliśmy się też bronić. Doszło do tego, że w ferworze walki na słowa Andrzeja powiedział do przewodniczącego:

— Ty onanisto!

Tego przewodniczący nie mógł darować. Włączono w sprawę ciało pedagogiczne. Jeden z belfrów dał się przekonać czerwonym krawatem, że tę śmierdzącą imperialistyczną frakcją należy rozgromić.

Tak się złożyło, że obok naszej afery wybuchła inna. Tyczyła starszej koleżanki, która podobno na obozie koła naukowego podczas wakacji ukradła koleżance szlafrok. Wyjechała wcześniej z obozu, ale koledzy dopadli ją na dworcu i szlafrok ten wywlekli z jej walizki. Broniła się, twierdząc, że szlafrok został jej przez koleżankę подарowany. Nie wiem, jak naprawdę było, koleżanka z innego roku nie interesowała mnie, plotkami i pomówieniami brzydziłam się i nie brałam w nich udziału. Ogłoszono proces, na którym postawiono jako punkt pierwszy „szlafrok”, a jako punkt drugi „frakcję psów”.

Na proces przyszli wszyscy studenci z całej szkoły. Przewodniczył belfer, który dał się przekonać.

Sprawę szlafroka wałkowano około trzech godzin. Oskarżona koleżanka nie broniła się, bo w ogóle na to zebranie nie przyszła, co zostało przyjęte jako policzek dla organizacji. Była sądzona zaocznie i skazana na pół roku pracy jako sprzątaczką w fabryce, chyba „Semperitu”. Koleżanka wyroku nie przyjęła, wyjechała do innego miasta do innej szkoły i jest dzisiaj

szanowaną aktorką. Ale zanim to zrobiła, uratowała nas.

Towarzystwo siedzące na sali było już tak umordowane „sprawą szlafroka”, że kiedy na wokandę weszła „sprawa psów”, potraktowano ją mniej surowo i, po przeprosinach za „onanistę”, ukarano nas wydaleniem z szeregów ZMP, a może tylko zawieszeniem — tego szczegółu nie pamiętam. Jedno było ważne, nie usunięto nas z uczelni. Wilczy bilet za sabotaż w tamtych latach wykresiał możliwość studiowania na jakiegokolwiek uczelni.

Kaca mieliśmy potwornego. Musieliśmy zewrzeć szeregi i nie ujawniać już tak beztrzesko i hałaśliwie indywidualnych sympatii. Przyjaźni nie zerwaliśmy i przetrwała do końca studiów, ale coś jednak pękło i nie była tak żywiołowa i spontaniczna.

To były powody, dla których losy mojego brata ześly na plan dalszy i nie zaprzętały mojej uwagi.

Pewnego dnia, to było na początku trzeciego roku, Matka poprosiła mnie, żebym pojechała do Chorzowa z wizytą do brata i żebym zawiozła mu paczkę. Miałam pojechać w niedzielę wczesnym rannym pociągami.

Matka upiekła placki, przetopila słoninę na skwarki, kupiła kawał kielbasy i boczką, napisała list i odprowadziła mnie na dworzec.

Do Chorzowa zjechałam na przedpołudnie. Pytając o jednostkę wojskową, szłam czarnymi ulicami miasta. Byłam po udanych wakacjach, wygrana w siatkówkę, opalona, wysmiana, wygadana, zadowolona z siebie i swego życia.

Doszłam do bramy koszar. Na wartowni zameldowałam kim jestem i do kogo przyjechałam. Wartownik zadzwonił dokądś. Trwało to dość długo, zanim mi powiedział:

— Są na dole.

— Na jakim dole?

— Na kopalni.

— A kiedy wrócę?

— Przed wieczorem, ale nie ma pewności.

Zostawiłam więc ciężką paczkę na wartowni i poszłam z powrotem do miasta. Wyglądałam jak wyrzut sumienia dla Chorzowa, bo byłam w nieskazitelnym czystym, białym prochowcu, w czerwonej w białe grochy chusteczce na jasnych, wypłowiałych od słońca włosach i świeciłam tą jasnością jak lampa. Toteż odwracali się za mną ludzie, co mi sprawiło ogromną przyjemność. Ale przyjemność ta malała w miarę upływu godzin. Co ja będę dalej robiła? Do wieczora tak daleko. A może oni już wrócili z tego dołu? Może ja czas marnuję, a oni już tam są w tych koszarach? Zaczęłam biec. Wpadłam zadyszana do wartowni.

— Wrócili już?

— Nie, jeszcze nie.

— To co ja mam robić?

— Nie wiem. Do koszar nie mogę pani wpuścić.

Odeszłam więc. Przykucnęłam pod ogrodzeniem, oddzielającym świat ludzi wolnych od przestrzeni dla ludzi podległych wojskowemu rygorom. Skubałam zakurzone trawki i patrzyłam na szeroką drogę, prowadzącą od kopalni do koszar. Słońce przypiekało jesienną duchotą, potem zbladło, wreszcie zaszło za chmury. Byłam już bardzo zmęczona i senna.

Około piątej po południu na końcu szerokiej drogi zobaczyłam czarny punkt, który rósł z minuty na minutę. Szła kolumna czarnych ludzi. Szli czwórkami. Na brzegu pierwszej czwórki nie wypatrzyłam, lecz raczej przeczułam mojego brata. Wysoki, z charakterystycznie wypiętą pierśnią do przodu, głowę trzymał prosto i jakby patrzył na wszystko i wszystkich z góry. Zawsze taki był.

Wybiegłam im naprzeciw. Usłyszałam żalony i niechętny śpiew. Twarze mieli zmęczone, niby umyte, a jednak czarne, tylko gałki oczu błyszczały nienaturalną bielą.

— Dziunek!

Rzucił głową w bok jak uderzony.

— Zostaj!

Szłam obok niego i beczałam ze szczęścia, że go widzę i z żalu, że takiego go widzę.

Nie bardzo pamiętam, jak się stało, że znalazłam się na terenie koszar, że siedziałam w żołnierskiej jadalni przy długim stole obitym blachą, że otaczał mnie krąg młodych chłopców, ciekawych mnie i wzruszonych wzruszeniem mego brata. On, wesoły, pełen entuzjazmu, rozpakował matczyną paczkę, która miała mu starczyć na co najmniej tydzień, a została pożarta w mgnieniu oka przez zaproszonych przez niego kolegów. Mieli sinoczarne twarze i smutne oczy. Kroili pajdy chleba, smarowali je grubo skwarkami, odłamywali kawałki kielbasy, drożdżowy placek kruszył się w ich spracowanych, grabiatych rękach. Spojrzałam na mojego brata, czy on też taki jest? Nie, teraz jaśniał jakąś wewnętrzną jasnością, chłopięcą chępliwością, gówniarskim szczęściem, że może się postawić i ugościć swoich najbliższych kolegów. On jeden był wolny. Tę wolność przyniosła mu paczka od Matki i moja obecność. Przyglądałam mu się uważnie, jakbym zobaczyła go po raz pierwszy w życiu. Z przykrością zobaczyłam na jego twarzy dziesiątki wbitych głęboko w skórę czarnych węgłów od węglowego pyłu. Czy inni też tak wyglądali? Tak, inni też. I jak się miały te wymokłe, nakrapiane czarnymi węgami twarze do mojej, czerstwej, opalonej, okolonej czerwienią chusteczki w białe grochy, do czystego płaszczka, do białego jak śnieg smalcu, do złotych kromek maminiego placka?

Wracałam do Krakowa późnym nocnym pociągami. W wagonie trzeciej klasy, wtulona w kącie siedzenia, przeżywałam wizytę u mojego brata jako łaskę daną mi przez Boga dla zrobienia rachunku. Rachunku ludzkich losów. Ja wracałam do schludnego choć niebogatego domu Rodziców, do wieczornych, modlitewnych mrużanek babciej Ludwiki, do wanny z czystą wodą, do pachnącego mydła, do lampy świecącej nad stołem. Za sobą zostawiałam świat ludzi zniewolonych, którym kazano pracować w duszącym węglowym pyłu za nie popełnione winy. Należeliśmy do tego samego pokolenia, ale młodość upływała nam nie tak samo. Poczulałam się wielkim dłużnikiem wobec mego brata i jego losu.

Fragment książki „Zatrzymać czas”, która ukaże się w tym roku nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej.